

Patrycja Babicka

Magdalena Zarębska-Węgrzyn

Ostatnie 300 metrów

Historia inspirowana życiem Wandy Rutkiewicz

Premiera 18.05.2018

Teatr Bagatela

Raz, raz, odbiór.

Carlos! Jestem pewna.

Wracaj sam.

Trzeci raz nie zawrócę.

Wracaj do bazy i czekaj.

26 maja 1992 roku agencja Reutera podała komunikat o zaginięciu Wandy Rutkiewicz.

Za oficjalną datę jej śmierci uznano 13 maja - pierwszy dzień, w którym nie nawiązano z nią kontaktu przez radiotelefon.

Godzina 21:00, 300 metrów od szczytu Kanczendzongi, 27°42'9"N, 88°8'54"E.

300 metrów to jak wyjść po bułki do sklepu. Bułki na śniadanie.

Nic ze sobą nie wzięłam, zapasowe skarpety. Tyle. Rękawiczki. Nieważne. Nieraz rezygnuje się z czegoś na rzecz szybkości. To mój wybór. Nie wszystko jest jednak moim wyborem.

Mamo, jestem tu. Nie musisz się bać.

kang - śnieg,

chien - wielki,

dzod - skarbnica,

nga - pięć.

Pięć Skarbnic Wielkiego Śniegu bierze mnie w ramiona.

Jezu, jak zimno, nie czuję palców u stóp.

W górach umiera się jak topielec.

Płuca wypełniają się płynem i zaczynasz się dusić.

Jeśli wchodzi się samemu, należy niezwłocznie podjąć decyzję o powrocie.

Takie reakcje organizmu oznaczają, że jest się w strefie śmierci. Wielu straciło życie, próbując w niej czekać na poprawę samopoczucia.

Kiedy wchodzi się z zespołem można liczyć na pomoc partnerów, ale tylko pod warunkiem, że wcześniej zostało to ustalone. Takie decyzje zawsze zapadają na dole, w bazie. To, że nie rzucamy się sobie na ratunek pod lawinę albo nie zawracamy z drogi na szczyt, mijając martwego kolegę, nie wynika z bezduszności, tylko logiki i konieczności ratowania tego życia, które jeszcze zostało.

W górach tak naprawdę jest się tylko ze sobą, i tylko na siebie można liczyć.

Carlos! Carlos!

Tylko chwila, jedna jedyna, kiedy myślę, że mogłam wrócić z tobą. Tylko chwila. W górach jedynie pogoda i zmęczenie mogą cię zawrócić z drogi do celu. Władza absolutna wiatru i zimna. Dyktat fizjologii i ciała. O zimnie można zapomnieć. Po przekroczeniu granicy, obojętniejesz, gdy tracisz władzę w za sztywnych i skostniałych rękach, kiedy już nie czujesz, co dzieje się z ciałem. Jesteś tylko ty i nieobecne, właściwie martwe ciało. Nie myślisz już o nim. Leży jakby obok, podnosisz się, by ciało ułożyć i ogrzać, ale ono upada z powrotem. Próbujesz wstać, by znów zyskać nad nim władzę i wiesz jednocześnie, że ryzykujesz jeszcze bardziej. W końcu zostajesz w jakiejś nieludzkiej pozycji, w której nie możesz już wykonać ani jednego gestu, by się ochronić. Ciało leży obok. Oddycha. Póki oddycha, strach jest daleko. Choć ciemno, choć zimno.

W złożonych ramionach, grzanych dwutlenkiem węgla prosto z moich płuc, na chwilę mam ciepły i bezpieczny dom. Kryształki lodu rozmarzają na twarzy. Jest naprawdę ciepło i bezpiecznie.

Kiedy rodzi się człowiek, najpierw pojawia się głowa, potem reszta ciała.

A mi życie wchodzi od stóp.

Dziwne, już mi nie ciążyą nogi.

Dobrze, potrzebuję jeszcze trochę siły.

Jak lekko!

Zniknął ból z przygniecionych ciężarem kolan.

Co się dzieje? Jak to... Matko jedyna, może wariuję?

Zawsze mnie noga przecież zaczynała boleć.

Od 2000 tysięcy metrów szłam tylko na proszkach, inaczej umarłabym z bólu.

Teraz nic.

Niebywałe im wyżej, tym lżej, im zimniej tym cieplej.

Chyba powinni to gdzieś opisać, w jakimś piśmie naukowym.

„Całkowite zespolenie z górami powoduje stopniowe zdrowienie i powrót sił witalnych”

Już zapomniałam, że miałam taką skórę, takie ręce.

Gorąco, a może to już początki deterioracji?

Nie, wszystko na swoim miejscu.

Widzę ostro, ostrzej niż miesiąc temu.

Mam siłę.

Mam...

Nie mam siwych włosów?

Zobacz, zniknęły rany po odmrożeniach, a krew znów zaczęła krążyć w moim ciele.

Mamo, nie miałaś racji. Bogowie Himalajów wyciągają do mnie ręce i zapraszają do siebie. Spójrz mi w oczy mammo. Widzisz? Znów mam 20 lat. Jest dobrze. Wiele czasu musi jeszcze upłynąć, zanim moja twarz uzbroi się w zmarszczki, zanim moje

ciało upadnie po raz pierwszy i zatrzyma mnie w bólu i chorobie. To jeszcze nie teraz.

Godzina 21:58, 200 metrów od szczytu Kanczendzongi, 27° 42' 9" N, 88° 8' 54" E.

Mamo, nie miałaś racji! Znów mam siłę. To wszystko wcale nie musi się wydarzyć.

Wyobraź to sobie jeszcze raz. Piękny dzień. Pierwsze wiosenne słońce. Po śniadaniu wielkanocnym wyruszamy z Jurkiem na poszukiwanie przygód. Mamy zajrzeć do starej szopy, za rzeką, bo ponoć Jurek zakopał tam z kolegami skarb. Za starą gruszą przy drodze spotykamy jednak tych dwóch. Nie lubią mnie. Namawiają się i nie pozwalają iść ze sobą. Wracam z płaczem do domu. Wycierasz talerze. Ze stołu spada jajko wielkanocne i roztłukuje się.

Co się stało? - pytasz. Chcę skłamać, że nic, ale nie potrafię. „Jurek i oni coś podpalają” - mówię. Wstrzymujesz oddech. Mnie łzy napływają do oczu, bo przypominam sobie, że oni nie chcą się ze mną bawić.

Jurek z kolegami pochylają się nad skarbem. Ciągniesz mnie za rękę. Boli. Biegniemy. Mijamy gruszę i już jesteśmy na ścieżce niedaleko rzeki. „Gdzie?!” - krzyczysz. „Szybko!” Jeden z tych dwóch chce dotknąć skarbu i wyciąga palec. Z daleka słysząc już tylko huk.

Ciszaaaa. Aż piszczy w uszach. Zamykam oczy. Gdy je otwieram, świat nie jest już taki jak wcześniej. Ty, mamo, też. Rok później rodzi się moja siostra Nina, potem brat - Michał. Ja jestem najstarsza. Starsza nawet od własnej matki.

Jurek. Nie idź tam.

Brakuje mi powietrza. Chyba dalej nie dam rady. Nie mogę oddychać. Jurek coś Ty narobił? Co dalej? Co ja mam teraz zrobić? Tam jest przecież przepaść. Czujesz to, czujesz ten zapach? Boże, jak śmierdzi. Nigdy wcześniej nie byłam w takim miejscu. Chodźmy jeszcze dalej. Na pewno się uda.

Tato, zobacz, gdzie jestem! Sama tu weszłam. Zobacz! Nie chcę odpoczywać, chodźmy dalej. Tato! Mama się nie dowie. Będę ostrożna. Przytrzymam się liny.

Mierz siły na zamiary, prawda tato?

Tylko jednego nie wiem, jak już tam wejść, jak przyczepić linę, by móc zejść z powrotem?

Nie oglądaj się za siebie, prawda tato?

Musisz umieć sobie poradzić, bez względu na sytuację.

Do odważnych świat należy.

Aniele Boży, Strózu mój, Ty zawsze przy mnie stój. Rano, wieczór, we dnie, w nocy...

Ojciec powtarzał, żeby nie patrzeć w dół. To nie patrzyłam. Jak tylko byłam w górach, miałam oczy utkwione w szczyt. Nie widziałam tego, co dookoła. Patrzyłam na górę, zamykałam oczy i uczyłam się jej na pamięć. Potem, jak już na nią wchodziłam, to bardzo ułatwiało sprawę. Wybrałam góry, bo za pierwszym razem się udało. Niby gdzieś tam spadłam, niby z wysoka, ale wbrew prawom fizyki przeżyłam i się nie połamalam. I pomyślałam wtedy, że to jest dla mnie. Lubiłam zmęczenie, ten wysiłek i te proste przyjemności, które następowały potem. Rozbicie namiotu, kubek herbaty, kawałek ciepłego koca na plecach. To nie była żadna niewygodna, żadne spartańskie warunki. Nie umiałabym po wspinaczce jechać do hotelu. Te

mokre liście, ich zapach, chłód o poranku były częścią wyprawy.

W przeciwieństwie do innych miłości, ta nie minęła. Choć bez przysięgi, bez podpisu, bez obrączki. Trwała i była coraz dojrzała, jak w dobrym małżeństwie. Poznawaliśmy się, uczyliśmy się siebie i akceptowaliśmy wszystkie swoje wady. Z czasem zrozumiałam, że tylko ja mogę umrzeć z tej miłości. Powiedziałam o tym Kurtowi, tylko jemu. Tylko jemu mogłam mówić takie rzeczy. Miał być na zawsze. W zdrowiu, w szczęściu...

Nauczył mnie patrzeć nie tylko na szczyt. Nie tylko na cel. Patrzyliśmy w tym samym kierunku. To chyba właśnie na tym polega. Żeby dwoje wolnych ludzi chciało patrzeć razem. Zobaczyłam potęgę tego obezwładniającego piękna gór i pierwszy raz płakałam. Nie ze zmęczenia.

Naprawdę? Mój? Jesteś mój? O, jaki słodki... Oczka, nasek, uszka... Wszystko na swoim miejscu. Jesteś nadzwyczaj. Nadzwyczaj. Nie wiem jaki. Maluszk, podobny zupełnie do nikogo. Ojej. Jak ty uroczoz ziewasz. Dziękuję ci, świecie, za niego. Chroń tę istotkę przed każdym niebezpieczeństwem. Wyrósni na dużego i mądrego. Będę cię zawsze...

Potem przewiozłam cię z tych Himalajów do Polski. O tutaj, pod sercem. Miałam pod płaszczem taki balon. Wyglądałam jak ciężarówka. Zresztą niektórzy tak mówili. Jedna stewardessa zaproponowała mi herbatę, myśląc, że jestem przy nadziei. A to byłeś ty, Yeti. No już. Aport!

„Może ułożymy sobie życie na starość?” - mówił Kurt. „Może”. Mogliśmy wtedy spróbować porozmawiać o tym. Mogliśmy zrezygnować z tamtej wyprawy. Mogliśmy wynająć łódź. Mogliśmy

ruszyć w morze. Albo kupić działkę pod miastem. Mogliśmy jeździć na rowerach. Pogryzłyby nas komary. Poszłabym do GS-u po jajka i ser na śniadanie.

Mogliśmy o tym wtedy porozmawiać, ale chyba nie mieliśmy na to czasu. Początek wyprawy był blisko. Broad Peak. Prawie wszystko było gotowe. Na takie wyprawy czekałam całe życie. Nie musiałam się o nic martwić poza tym, aby wejść na górę. Były pieniądze, był sprzęt i był Kurt. Ten szczyt nie był trudny, wtedy nic nie było trudne. Pierwszy raz oprócz szczytu, góry, wejścia i wyprawy liczyło się jeszcze to, że idziemy razem.

Teraz zostało mi tylko 200 m. Wtedy na Broad Peak, kilkaset metrów lodowej przepaści na zawsze zabrało Kurta. Wtedy, dwa lata temu, po raz pierwszy zawróciłam z drogi na szczyt.

Ojciec by na to nie pozwolił. Inżynier – wynalazca. Pamiętam jak wołał: „Musisz sobie poradzić!” Złościło mnie to, bo czasami nie miałam już siły. Ale on wiedział, że dzięki tej sile przetrwam w życiu wszystko. Wtedy nie mogłam tego zrozumieć, przecież byłam tylko małą dziewczynką z zadartą głową i wzrokiem utkwionym w górę. Myślałam o tym, kiedy musiałam patrzeć w oczy tym ludziom. Stali w domu ojca... Ich twarze nie wyrażały nic, a już na pewno nie zdolność do takiej zbrodni. „Pojeźdź tam” – powiedziała matka. „Dlaczego ja? Nie chcę na to patrzeć! Boję się! I co z tego? Pojechałam. W dawnym domu ojca było jasno.

Chciałabym umyć sobie włosy, takim szamponem z Pewexu. Ładnie pachnie. Potem włożyłabym sukienkę i obcasy. Głodna jestem. Zjadłabym ciepłych ziemniaków z mizerią, włączyła sobie „Dynastię” i zadzwoniła do taty.

W dawnym domu ojca jest jasno. Dokładnie widać było plamę krwi na ścianie.

„Rozpoczynamy wizję lokalną”

„Pani Wando, Pani stanie tutaj”

„Tamtego dnia Zbigniew B. wszedł do tego tu mieszkania. W mieszkaniu panował półmrok. Czy światło było mniej więcej takie?”

„No”

„Proszę pokazać, gdzie pan stał chwilę przed tym, jak doszło do zabójstwa Zbigniewa B.”

„Tutej”

„Proszę tu zostać. A pan gdzie stał?”

„Przy tej szafie”

„Teraz pani. Gdzie pani była?”

„Nie wiem”

„Proszę sobie przypomnieć”

„Dobrze. I ostatnia osoba. Mamy całą czwórkę”

„Proszę opowiedzieć, jak to się stało, że w konsekwencji zrobił pan to, co zrobił? Czy jakieś konkretne zachowanie Zbigniewa B., słowa, czy też obawa o coś w tym momencie zrodziła się w panu?”

„Un tak stał. I był zły, żeśmy mu te jego meble spsedoli”

„Ukradliście i sprzedaliście rzeczy z tego pokoju. Jakie to były rzeczy?”

„Tu, dzie ta plama na ścianie był taki regoł stary. To tośmy wynieśli wpierw”

„Tyz łańcuski złote z ty suflady”

“Pani Wando, czy faktycznie, takie rzeczy znajdowały się we wskazanych przez sprawców miejscach?”

“Tak”

“Proszę mówić dalej”

„I jak się zdenerwował z powodu tych rzeczy, to co powiedział?”

„Ze milicje zawezwie”

„Co się wtedy stało?”

„Wziełem siekiere i walłem go w łydki, bo się omskła”

„Proszę zademonstrować”

„Co zrobiła wtedy pani?”

„Kopłam go w głowę”

„Mocno? Proszę pokazać”

„Co się stało później?”

„Marian posed po nóż do suflady”

„Do czego potrzebny był panu nóż?”

„Zeby dźgać”

„Proszę pokazać, jak robiliście to razem”

“Pani Wando, nie musi Pani, jeśli to...”

Mamo, rozkładasz na stole karty.

Lubię do ciebie wracać. Lubię wracać z „tych gór”, jak to mawia sąsiadka, stara Waciakowa. „O, a pani znowu wróciła z tych gór” – zaczepia mnie przy skręcie na tę ruchliwą ulicę... tę no, nieważne... „Spróbowałabyś nie wrócić” – żartobliwie grozisz, mamo.

Karta Ci sprzyja – mówisz, gdy na lotnisku żegnasz mnie przed wyprawą, a potem dodajesz „nie oszukasz mnie, ja zawsze wiem, gdy coś jest nie tak” i że będziesz się za mnie modlić. Uwielbiasz to. Wierzysz we wszystko, w energię miejsc, w znaki zapisane w przyrodzie, układ planet.

Znów upiekłaś jabłecznik. I oczy twoje stroskane. Śmieją się, cieszą, że jem. Spróbowałabym nie wrócić... Wrócę, jasne, że wrócę. „Takie jak ona zawsze wracają” – śmieje się ze mnie Halina. Ta to by się dała pokroić za ten twój jabłecznik. Lubię patrzeć, mamo, jak przechadzasz się cichutko między swoim miejscem przy stole, regałem z książkami a wersalką. Zawsze twarzą do okna.

Wszyscy mnie straszili, wszyscy, łącznie z moim profesorem. Kazał przyjeżdżać do siebie do Krakowa i zadawał dziwne pytania. Co widzę w górach? Czy zdarza mi się słyszeć jakieś głosy? Jak znoszę gwałtowny brak tlenu? Obrzęk mózgu, obrzęk płuc – przestrzegał.

To chyba jeszcze nie teraz. Jest dobrze. Jezuu! Jest dobrze. Wanda? Wanda? Odbiór! Wanda. Palce, 10 palców, mam dziesięć palców. 10 u rąk, 10 u nóg. Wszystko jest dobrze. Wanda. Jestem Wanda. Wanda Rutkiewicz.... Nazywam się Wanda Rutkiewicz. Urodziłam się czwartego lutego.. Lutego? Jezus Maria! Zwariuję. Czwartego Lutego się urodziłam. Czwar - te - go lu-te-go, Lu-

te-go czwar - te- go. Czterdziestego trzeciego. Roku. Czwartego lutego czterdziestego trzeciego roku. W Płungianach. Tak. No już... Ciiii... Ci... dobrze. Już dobrze... To nic, że ponad 7000 metrów. Już to znasz. Ciii... Jezu, jak ja bym tych ziemniaków zjadła. Nazywam się Wanda Rutkiewicz, urodziłam się w Płungianach, 4 lutego 1943 roku. Dobrze.

Mrówka! Mrówka! Słyszysz mnie? Jest dobrze. No... widzisz? Powtarzaj za mną. Dobrosłowa Miodowicz Wolf "Mrówka". Nazywam się Dobrosłowa Miodowicz Wolf, pseudonim: "Mrówka", urodziłam się... No dalej... No chodź. Chodź. Nie bój się. Jestem. Wezmę cię na plecy, trzeba cię znieść. Kto jest w obozie? Mrówka, Ty musisz do domu. A za rok, za dwa wejdziemy na K2. Powiesz im, że w końcu to zrobiłaś, że weszłaś.

„Mrówka zginęła” - i tyle. „Mrówka, kurwa, zginęła”. Tak mi o tym powiedzieli. Stałam jak wryta. „Obrzek mózgu, to chyba był obrzek mózgu” -dodał ktoś inny. Czy oni wiedzieli kim była Mrówka? „Zginęła”. Koniec. Zginęła, nie ma...

Wiadomość z ostatniej chwili. Podczas zejścia z K2 zaginęła Dobrosłowa Miodowicz-Wolf - polska himalaistka. Polka, która wspinała się wraz z zespołem brytyjskim zmarła najprawdopodobniej w wyniku obrzoku płuc i mózgu. Przypominamy, że to kolejna śmierć w Karakorum w ciągu ostatnich 3 miesięcy. Góra pochłonęła już 13 himalaistów. Trwa czarne lato na K2, do tej pory zginęli:

Amerykanie: John Smolich i Allan Pennigton, francuskie małżeństwo: Lilliane i Maurice Barrard, Polacy - Tadeusz Piotrowski i Wojciech Wróż, Włoch - Renato Castrotto, Pakistańczyk - Muhammed Ali, Brytyjczycy - Jullie Tullis i Alan Rouse, Austriacy - Hannes Wieser i Alfred Zimmer.

I „Mrówka” to ostatnia ofiara tego tragicznego lata.

Jednocześnie podczas tegorocznej ekspedycji po raz pierwszy na szczycie K2 postawiono proporczyk z polską flagą. Wanda Rutkiewicz, jako pierwsza kobieta i pierwszy Polak zdobyła szczęśliwie tę zabójczą górę, natomiast Jerzy Kukuczka dokonał wejścia zupełnie dziewiczą drogą i stanął na szczycie góry dwa tygodnie po niej. Polacy weszli na szczyt w stylu alpejskim, bez dodatkowego tlenu.

Wtedy nosili mnie na rękach. A teraz chcą odebrać mi Annapurnę.

Komisja w sprawie ustalenia faktów dotyczących zdobycia szczytu Annapurna w dniu 22 października 1991 roku przez panią Wandę Rutkiewicz. Stawili się: Krzysztof Wielicki – kierownik wyprawy, Wanda Rutkiewicz, Ryszard Pawłowski i Bogdan Stefko. Jako pierwsza zeznania złoży Wanda Rutkiewicz.

Wanda, uznaliśmy ci to, ale ja ci kurwa nie wierzę.

My, uznaliśmy ci to.

Nie wierzę ci.

„To wejście jest dyskusyjne”.

Trąbił o tym cały świat.

Sądzą mnie jak złodzieja.

Według nich ukradłam sobie to wejście.

„Wanda szła bardzo wolno, przez zranioną nogę i musiała odpoczywać...”

Bolało mnie, kurwa. Bolało! Ciągnęłam za sobą tą nogę i czołgałam się jak ranny żołnierz.

A potem, któryś jeszcze: „Wyglądała jakby traciła świadomość...”

I się zaczęło: „Czy jest pani w stanie ocenić, że była w pełni władz umysłowych?”

„Tak” i opowiadam o tych badaniach. Robiłam je w Krakowie i wyszło, że jestem odporna na warunki wysokogórskie, nigdy miałam nigdy halucynacji, ani omamów, a oni dalej:

„Dlaczego nie zdecydowała się pani na atakowanie szczytu z partnerem?”

„Bo mnie zostawił w namiocie, bo chciał wejść za wszelką cenę, bo ...”

albo pytam go: „Jak wygląda droga na szczyt?”

Leżę przed nim jak zranione zwierzę, mgła jest taka, że nie widać czubka nosa. Pytam go o to, a on nic. Stoi i patrzy z wyższością, bo on już tam był.

I twierdzi, że zapytałam go o to, bo wiedziałam, że nie dam rady wejść. Jezuuuu!

Wszyscy o tym gadali, że powołano komisję w sprawie ustalenia faktów dotyczących zdobycia szczytu Annapurna przez Rutkiewicz.

Sama chciałam tej komisji, poszłam do prezesa i zażądałam ustalenia prawdy. Jedyne dowód, jaki miałam, to zupełnie czarne zdjęcie z jasną smugą. Aparat się zaciął i migawka za późno się zamknęła.

„Czy na podstawie tego zdjęcia możecie panowie ocenić prawdziwość relacji pani Rutkiewicz?”

Nie.

Nie, nie, nie.

Ja „tak”, oni że „nie”.

A dlaczego?

Jak już wszyscy zeszli, to obserwowali górę i zobaczyli kogoś, kto zawraca z drogi na szczyt. Więc zgodnie uznali, że odpuściłam. A potem zaczęło się to piekło.

To moje jedno zdjęcie wysłano do komisji w Austrii.

Nie wiem, co oni tam z nim zrobili, ale coś powiększyli, przybliżyli i powiedzieli, że takie zdjęcie można zrobić tylko ze szczytu, że kontur góry, który na nim jest widoczny jest tylko z wierzchołka.

Wyrok po mojej stronie, a oni przeciwko mnie.

Uznaliśmy ci to, ale ja ci kurwa nie wierzę.

Nawet ich rozumiem, bronili męskiego honoru, ale dlaczego kłamali do końca. Stąd się wzięły kobiece wyprawy, na dziewczyny zawsze można było liczyć. W górach Halina, Basia, Mrówka. W Polsce Ewka.

Zrzucaj ciuchy - krzyczy - i w całej okazałości, jak ją pan Bóg stworzył, rozkłada się na gorącym piasku. Psy szaleją w wodzie, ludzie wokół z dumą prezentują swoje nagie, niedoskonałe ciała. Do Warszawy dotarła moda na nudyzm, jego kolebką są oddalone o kilkanaście kilometrów Świdry Wielkie. Leżymy na małej wyspie otoczonej wikliną. Na samą myśl, że mam się rozłożyć na golasa przed całym światem cierpnie mi skóra. Siedzę jak kretyńka z podkulonymi nogami i się zastanawiam, czy stąd uciec czy olać ten chory przymus nagości i zostać

jednak w bieliźnie. Dorośli ludzie nago, w takim skupisku nie wyglądają apetycznie. Pomarszczone, pokryte warstwą tłuszczu i bujnym owłosieniem ciała suną jednak leniwie przez plażę. Idę na kompromis sama ze sobą i kładę się w końcu na plecach.

Twoje ciało jest inne. Dziś zobaczę je nago po raz pierwszy. Wyobrażałam sobie ten moment miliony razy. Całujesz mnie pierwszy raz w ten sposób. Dopiero przyszedłeś. Wciąż pachniesz wiatrem i masz zimny nos. Słyszę, jak wali mi serce. Między nogami wyczuwam puls. To takie przyjemne. Nie wiem, co zrobić z lewą ręką. Prawą dotykam twojego policzka. Chłodny i lekko chropowaty. Lewą zarzucam ci na ramię. Choć wygodniej byłoby mi objąć plecy. Ta wersalka taka wąska. Zaskakujące. Mam rozpiętą bluzkę. Nie wiem, jak to się stało. Nie założyłam dziś stanika. „Masz ładne piersi” – mówisz, choć chciałeś powiedzieć „piękne”. Aua. Przyciąłeś mi włosy łokciem. Wybijam się. Na sekundkę. Otwieram oczy. Kiedy je zamknęłam? Uśmiechasz się. Miłość? Nie mam już spodni. Teraz twoje. Chcesz je zdjąć, ale noga utyka w nogawce. Pomagam ci swoją. Ale ona też się płacze. Śmiejemy się. „To może rozłożymy?” Ze spodniami opuszczonymi do kostek otwierasz wersalkę i wyciągasz z niej poduszkę i pierzynę, drugą pierzynę. Ja w majtkach. Ty w koszulce. Chyba po sekundzie – już bez. Teraz mam wyrwę. Kompletną. Ona trwa i trwa i trwa i trwa i trwa i trwa i trwa. I wracam. Słyszę nic. I echo, echo, echo... Kocham cię. Chcę to zatrzymać. Zamykam oczy i widzę twoje ciało roztrzaskane o skały.

Tak, tak, już idę.

Halina, Basia - jedyne co mogłam zrobić, to wrócić po nie. Wróciłam i pochowałam jak na to zasługiwały. Halina miała 10-letnią córkę. Musiałam to zrobić ze względu na to dziecko. Basię wzięłam na plecy. Zniosłam do bazy. Pochowałam, tak jak na to zasługiwała. Tak, jak zasługuje na to każdy człowiek. Po Basię wróciłam 4 lata po jej śmierci. Na wpół rozłożone ciało było bardzo trudne do niesienia, ale musiałam. Obiecałam to sobie. Obiecałam, że po nią wrócę.

Z Mrówką było inaczej, źle się poczuła, zawróciła 50 metrów od szczytu Nanga Parbat. Już wtedy, wyczerpana i z halucynacjami, myślała o tym pieprzonym K2.

Przekłete K2, góra zabójca. Kocha odważnych, żywi się nimi. Jednego lata wzięła ich trzynastu. Jakby nie mogła poczekać, nienazarty skalisty potwór.

Ze szczytu K2 zniosłam kamyk. Taki bezwartościowy okruch skały. Drogi tylko dla mnie, bo przechowuje pamięć o moich przyjaciółkach.

Czy ma sens tylko dla kawałka kamyka narażanie własnego życia?

Mrówka, jest mi ciężko.

Ale dam radę, tak samo, jak wtedy. Pamiętasz, jak ci opowiadałam? Jak poszłam tam sama. Mount Everest - to było najważniejsze na świecie. W końcu wszyscy zobaczyli. Pierwsza kobieta, samotne wejście. Bałam się jak diabli, teraz Ci to mogę powiedzieć. Słyszysz mnie? Bałam się, ale ja wtedy, po tej Wielkanocy, kiedy zginął Jurek, obiecałam sobie, że zatłukę strach, za każdym razem, gdy przyjdzie, to zatłukę go i wejdę tam, gdzie nie było nikogo, i zatłukłam go w sobie - ten strach. Po śmierci ojca i Kurta myślałam, że mnie złamie,

że nie wrócę w góry. Ale jak się pojawił, zaczęłam ryzykować jeszcze bardziej, tylko po to, by zniknął. I zniknął.

Mrówka, zobacz, znowu jest!

Viento blanco! Biały wiatr, posłaniec śmierci. Zadaje tysiąc ciosów na minutę, rani z chirurgiczną precyzją. Jeden oddech i miliony zamrożonych kryształków wbijają się w płuca. Wydychane powietrze smakuje krwią.

Wtedy też wiał, przestraszyłam się. Pamiętałam opowieści o nim. "Zobaczysz, jak boli. To nie do zniesienia. Nie da się tego wytrzymać. Lepiej się zabić"

Jak można być tuż obok szczytu i odebrać sobie życie przez wiatr? Wtedy wytrzymałam, teraz też dam radę. Byłam sama, jak teraz. Wszystko da się pokonać. Słyszysz Mrówka? Wszystko. Nie ma lęku, nie ma bólu.

Weszłam tam, byłam na szczycie świata, ale nie chcę jeszcze wracać do domu. Po kilku dniach odpoczynku ruszam przed siebie. Do nepalskich wiosek. Wołają z dala kolorowymi chorągiewkami, śmiechem dzieci, zapachem ognia. Znajdę jakiś dom i wejść do środka. Mijam małą świątynię usypaną z kamieni, zostawiam kilka roślin, idę dalej. Wzdłuż wąskiej ścieżki. Już wiem, do którego domu zmierzam. Ktoś jest w środku, z komina unosi się dym. W drzwiach pojawia młody mężczyzna, w kożuchu. Ludzie tutaj są naprawdę piękni. Są naprawdę. Zaprasza do środka. O nic nie pyta. Rozsiadam się wygodnie na miękkim posłaniu i przyjmuję kubek gorących ziół. Posiedzę tu jeszcze chwilę, bo przecież tu nie zostanę.

Nie zginę. Jeszcze za wcześnie. No już...

Tak. Zaczynamy.

Godzina 23:18, 100 metrów od szczytu Kanczendzongi, 27° 42' 9" N, 88° 8' 54" E.

I znów wszystko od nowa. Nareszcie. Najpierw sprzęt. Sprzęt jest najważniejszy. Ale trzeba wziąć jak najmniej. Ubranie, jedzenie, palnik, czekan, raki, liny, namiot. Żółty kombinezon, niech będzie żółty. Wszystko musi się zmieścić na plecach. Więcej nie trzeba. Więcej tylko przeszkadza, tylko ciąży, tylko opóźnia. Potem przyjazd na miejsce. Umowa z tragarzami i pieniądze dla nich. I od razu do bazy. Rozbicie namiotu. Dwa doły. Jeden z wodą, drugi - latryna. Umowa z ekipą.

Na początku zawsze choroba. Więc tabletki i walka z odpornością. Rozrzedzone powietrze. Oddech jest dwa razy szybszy. Ciało potrzebuje więcej tlenu. Jeden oddech nie wystarczy. Więc dwa. Na dwa oddechy, dwa uderzenia serca. Na dwa uderzenia serca, podwójne obroty wszystkich narządów. Nerki szaleją. Sikasz dwa razy częściej. Budzisz się w nocy dwa razy częściej. Trzeba poczekać kilka dni. Wejść w ten rytm. Raz, dwa, raz, dwa... Wszystko razy dwa. Aklimatyzacja - konieczna, inaczej umrzesz. Niechby była jak najszybsza. Więc jedna, druga, trzecia, czwarta... wspinaczka, żeby już być w tym rytmie. Raz, dwa, trzy, cztery... Codziennie kilka mniejszych podejść pod szczyt. Wystarczy. Radiotelefon, jeśli cię stać. Ratuje życie. Jeśli się da.

Liny poręczowe. W stylu alpejskim - zakazane. Czasem ratują życie. Butla z tlenem, tylko niepotrzebny ciężar. Trzeba wejść jak najszybciej. Na lekko. Szybko. Jak najszybciej. Wziąć to wszystko na plecy. I zwyczajnie wejść na szczyt.

Potem powrót. Jak najszybszy. Żeby przeżyć. Nie wolno czekać. Trzeba schodzić. Nie czekać na nikogo. Nie czekać na nic.

Czwarty obóz, trzeci, drugi, pierwszy. Już blisko. Już to zrobiłeś. Już.

Godzina 23:48, 30 metrów od szczytu Kanczendzongi, 27° 42' 9" N, 88° 8' 54" E.

Kanczendzonga, Sziszapangma, Nanga Parbat, Czo Oju, Mount Everest.

Czy to ważne, skoro zawsze kończy się tak samo?

30 metrów to tyle, ile jesteś w stanie, by wrócić do domu, jeśli czegoś zapomnisz. Mogłam się wtedy wrócić. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłam. Matka wołała: "Wandziu!". Wyszłam, nie wróciłam. Zawsze, jak się z nią żegnałam, kreśliła mi na czole znak krzyża. Błogosławiła. Pozwalałam na to. Wiedziałam, że głęboko w to wierzy. Tym razem byłam na nią zdenerwowana. Tak bardzo nie chciała, żebym tu wchodziła. Święta góra, góra, która nie lubi kobiet - mówiła. Nie mogłam z tego powodu odwołać wyprawy. Tłumaczyłam jej, że himalaiści szanują świętość tej góry i nigdy nie wchodzi na sam szczyt - tam, gdzie mieszkają bogowie. Ale matka swoje. Wyszłam i nie pozwoliłam na ten jeden gest.

Stary palec matki, na moim porytym zmarszczkami czole. Szybki dotyk.

Ciepło.

Warto było czekać na tę chwilę pospiesznej, nieśmiałej miłości.

Zawsze. Całe życie na nią czekać.

Moja mała dziecięca ręka w za dużej, szorstkiej dłoni ojca. Bezpieczeństwo.

Moja spocona twarz wtulona w silne plecy Kurta. Ciepło, miłość.

Moje skostniałe ręce, wciśnięte między zmarznięte nogi. Samotność.

Moja obolała twarz spoczywająca na kamiennym posłaniu. Siła.

Moje stare, poorane smutkiem ciało porzucone przeze mnie na górskiej drodze. Samotność, siła i...

Każda łza, każdy odcisk, każda radość, śmierć, cierpienie, każda najmniejsza samotna chwila, każdy ludzki uśmiech, dziura w swetrze, niepowodzenie, rozczarowanie, za ciasne buty, brak pieniędzy, ciepły obiad, dobry dzień, mroźna zima, chłodny wieczór, szczeknięcie psa, spóźniony pociąg. Mamo, wiem już.

Pomimo poszukiwań nie odnaleziono ciała Wandy. Jej matka nigdy nie uwierzyła w śmierć córki.

Do końca życia była przekonana, że Wanda zeszła na drugą stronę góry i została w buddyjskim klasztorze.